

Kręgi obecności (o rozmowie-rzece pt. *Czas nieprzewidziany* Grzegorza Wołowca z Michałem Głowińskim)

„Rozmowa-rzeka” to zamysł quasi-genologiczny (termin powstały na wzór pomysłu sprzed wieku, tj. „powieści-rzeki”, czyli literackiego przedstawiania nieprzerwanego nurtu długiego życia i rzeczywistości), w ostatnich dekadach przełomu bieżących stuleci stał się, zapewne nie tylko u nas w Polsce, charakterystycznym symptomem współczesnej kultury literacko-społecznej, jej inicjatyw wydawniczych i przestrzeni kultury masowej. Żeby nie wdawać się w szczegóły: te pomysły spełniają na ogół popularne oczekiwania i bieżące zapotrzebowanie na pośpieszne zapisy oraz interpretacje bieżącej rzeczywistości politycznej, społecznej, obyczajowej i artystycznej. A także te książkowe tabloidy pozwalają masowym czytelnikom na wgląd w życie prywatne i osobistą biografię — mniej lub bardziej intymną — znanej postaci życia społecznego. Jej opinie, komentarze, charakterystyki ludzi i wydarzeń mogą objaśniać oraz wyjaśniać życiowe wybory i społeczne role, które przyszło im odgrywać w kulturowej, społecznej i politycznej rzeczywistości. Rozmówcami w takich książkach są w przeważającej części postaci szczególnie znane, modni idole młodzieżowej publiczności, znani sportowcy, gwiazdy kina i muzyki rozrywkowej i inni skandalizujący artyści „na topie”. Ale też politycy, którzy chcą się zapisać w bieżącej historii, kandydaci na ważne funkcje i stanowiska. A także — wcale nierzadko — członkowie ich rodzin, żony, dzieci i potomkowie. Czytelniczy żywot takich „dokumentów” jest na ogół krótki, bo są to — można rzec — tematy dnia, często bestsellery tygodnia lub miesiąca, które powinno się szybko wydać i sprzedać, bo oto przygotowuje się następne.

Czas nieprzewidziany Michała Głowińskiego i Grzegorza Wołowca jako rozmowa-rzeka w istocie tych populistycznych cech nie spełnia, bo jest książką o wyraźnie odmiennych intencjach i wywodzi się z całkiem różnych przestrzeni społecznych. Nie jest sensacją z pierwszych stron gazet ani bogatą w zdjęcia pop-autokreacją. Rozwijana zaś w książce rozmowa-opowieść poprzez niespieszny dialog obu panów jest historycznie bogata i zawiera mnóstwo

szczegółów — faktów, ocen, nazwisk i autoanaliz, przede wszystkim na temat biografii głównego rozmówcy — ale i także — humanistyki, literaturoznawstwa i historii społeczno-politycznej PRL-u ostatnich dziesięcioleci. Michał Głowiński sytuuje więc swoją niezwykłą biografię wraz z wszystkim, co napisał i dokonał, niemal bez reszty w polskich przestrzeniach humanistyczno-kulturowych i naukowo-badawczych. Obaj rozmówcy adresują zatem swoje rekonstrukcje ku solidnie wykształconej publiczności czytającej, która interesuje się przede wszystkim literaturą, dziejami i teoriami polskiej humanistyki oraz jej wybitnych jednostek. Także, a może nawet przede wszystkim, kierują swoje rozmowy ku humanistycznym środowiskom uniwersyteckim i akademickim, których reprezentanci pamiętają jeszcze dobrze, co więcej, znają z autopsji, bardzo wiele wydarzeń, faktów i spraw podjętych w książce.

Rozmówcą Grzegorza Wołowca jest profesor zwyczajny Michał Głowiński, od 1958 r. pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN (wcześniej jako nauczyciel akademicki pracował krótko na polonistyce Uniwersytetu Warszawskiego). Współcześnie to bez wątpienia najwybitniejszy polski literaturoznawca, laureat bardzo wielu nagród naukowych polskich i zagranicznych, autor ponad czterdziestu książek własnych z zakresu teorii i historii literatury, redaktor i wydawca co najmniej tylu samo dzieł z tego zakresu, członek kolegów redakcyjnych wielu serii wydawniczych i czasopism (tu m.in. „Pamiętnika Literackiego”), współautor *Zarysu teorii literatury* (kilka wydań), podręcznika, który formował przez dziesięciolecia nowoczesną wiedzę o literaturze w Polsce, a także *Słownika terminów literackich* (również kilka wydań) o podobnie ważnej roli; współtwórca strukturalistycznych metodologii, które na całe dekady przeformułowały polską naukę o literaturze, ale także autor dwóch głośnych książek o charakterze pamiętnikarsko-wspomnieniowym (autobiograficzna z czasów Holokaustu pt. *Czarne sezony* — przekłady na kilka języków — oraz — kilkusetstronicowa „opowieść autobiograficzna” *Kręgi obcości*). Obie były w swoim czasie głośnymi, autobiograficznymi ewenementami, szeroko omawianymi i dyskutowanymi w wielu czasopismach, na spotkaniach autorskich w Łodzi gromadziły dziesiątki, dziesiątki uczestników, także studentów łódzkiej polonistyki. Ale Michał Głowiński to również pisarz, ośmielony bardzo dobrym przyjęciem książek autobiograficznych, łączy w kilku opublikowanych dotąd tomach — w konfesyjnym stylu — swoje doświadczenia życiowe i znawstwo — na przetrzał — poetyk współczesnej prozy artystycznej.

W czasie przemian solidarnościowych w Polsce lat osiemdziesiątych Profesor był aktywnym członkiem Towarzystwa Kursów Naukowych i współpracownikiem wydawnictwa poza cenzurą. Był również znakomitym obserwatorem i interpretatorem tzw. nowomowy i marcowego gadania: tu liczne wypowiedzi, książki i szkice na ten temat oraz dwa zbiory zatytułowane *Rytuał i demagogia*, a także „komentarze do słów” pt. *Peereliada*, które weszły na stałe w obieg interpretacji ideologiczno-historycznych PRL-u.

Wypromował Michał Głowiński kilkudziesięciu doktorów i był recenzentem naukowym wielu dziesiątków innych doktoratów, habilitacji i wniosków profesorskich. Jest członkiem Polskiej Akademii Nauk oraz Polskiej Akademii Umiejętności. Także Doktorem Honoris Causa czterech polskich uniwersytetów (w tym Uniwersytetu Jagiellońskiego). I jest — co nie takie powszechne — polskim literaturoznawcą najczęściej tłumaczonym na języki obce.

Jego rozmówcą jest wspomniany już wyżej Grzegorz Wołowicz, też pracownik naukowy (adiunkt Instytutu Badań Literackich), literaturoznawca, wypromowany przez Profesora Głowińskiego doktor nauk humanistycznych, jak i — w swoim czasie — mówiąc po prostu — przez wiele lat jego „kolega z pracy”. To przecież istotne, bo dzięki temu jest Wołowicz bardzo

dobrze zorientowany w rzeczywistości i jej rozlicznych kontekstach, o których obaj panowie rozmawiają. Dr Wołowiec — co też ważne dla tej „książki-rzeki” — interesuje się jako badacz (co wynika z jego dotychczasowych publikacji), najogólniej rzecz biorąc, społeczno-politycznymi kontekstami polskiej literatury i kultury literackiej po 1945 r. Jest dzięki temu znakomitym inspiratorem wielu wątków książki.

Michał Głowiński już w drugim zdaniu rozmowy proponuje swojemu rozmówcy założenie, aby „ograniczyć maksymalnie wątki autobiograficzne”, bo — powiada — „poświęciłem im dwie książki: *Czarne sezony* i *Kręgi obcości*, a uwzględniłem też w pozostałych opublikowanych opowieściach”. Nazbyt idealistyczna, powiedzmy, to propozycja, bo wszystko, co książką zawiera i o czym opowiada, co obaj rozmówcy komentują, ma przecież swoje oczywiste autobiograficzne piętno. Biografia Michała Głowińskiego i jej chronologia kształtują więc bez reszty tematykę kolejnych wątków i porządków rekonstrukcji, a Pan Profesor nawet streszcza, dla zachowania chronologii biograficznej w pierwszym rozdziale, „trochę retrospekcji” z czasów wojny i rzeczywistości przedstawionej przed laty w *Czarnych sezonach*.

Rozmowa zaczyna się więc pierwszymi doświadczeniami szkolnymi, tymi edukacyjnymi, ale i tymi zewnętrznymi, polityczno-ideologicznymi. Były to zgrzebne lata pięćdziesiąte, czas podstawowej i licealnej szkoły, a skutki stalinizacji dało się odczuć dotkliwie także w edukacji i na Uniwersytecie — ocenia Michał Głowiński. Nie sposób przywoływać tu wszystkich szczegółów. W każdym razie po maturze w 1951 r. młody Michał wybrał studia polonistyczne. Już jako student debiutował udanie i z talentem krytyczno-literackim na łamach iwaskiewiczowskiej „Twórczości”, rozprawę magisterską zaś napisał pod kierunkiem prof. Jana Kotta, a pierwszą pracę podjął jako bibliotekarz w dzielnicowej placówce (na szczęście na krótko; wtedy, warto dodać, obowiązywały po studiach nakazy pracy). Jak dalej opowiada, 1 października 1958 r. już jako doktorant, dzięki Kazimierzowi Budzykowi i Marii Renacie Mayenowej, otrzymał pracę w Instytucie Badań Literackich PAN, z którym wiąże się cała jego biografia naukowo-literaturoznawcza — od asystenta po profesora zwyczajnego — i jeszcze do dziś, od wielu kadencji — członka Rady Naukowej Instytutu.

Młodszy od Michała Głowińskiego o pokolenie (mniej więcej dziesięć lat) maturę zrobiłem w 1961 r. (profesor właśnie wtedy ukończył doktorat o poetyce Juliana Tuwima), a studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim w 1966 r., uzyskując w tym samym roku staż w Katedrze Teorii Literatury UŁ, kierowanej przez prof. Stefanę Skwarczyńską (Głowiński w roku 1967 uzyskał habilitację za cykl rozpraw z historii i teorii polskiej powieści). Pozwalam sobie na taką paralelę nie z miłości własnej, ale z faktu, że rozmowę Głowińskiego i Wołowca czytałem przecież ze szczególnymi emocjami i uwagą, bo — chcąc, nie chcąc — wpisywałem swoją biografię w konteksty wielu wydarzeń, faktów i sytuacji opisywanych w ich książce. Wprawdzie moje nazwisko w niej nie pada, ale w rozmaitych wydarzeniach, które w książce znajdują, brałem udział jako świadek i czynny uczestnik! Zatem wcale niemało faktów, przypomnień, wspomnień i ocen mogę rekonstruować z własnej pamięci i osobistego punktu widzenia. A i moja biografia przecież po wielokroć wpisywała się wprost lub marginalnie albo też obok w wydarzenia przez Michała Głowińskiego przypominane.

Jako student polonistyki korzystałem z *Wiadomości z teorii literatury* i *Zarysu teorii literatury*, potem *Zarys...* i *Słownik terminów literackich* stały się podstawowymi podręcznikami do zajęć literaturoznawczych dla studentów polonistyki, na której przez lata wykładałem w Katedrze Teorii Literatury Uniwersytetu Łódzkiego. Jedną z pierwszych książek w mojej domowej bibliotece literaturoznawczej jest rozprawa Głowińskiego o Tuwimie, czyli jego doktorat.

A pozostałe jego książki, liczone teraz w dziesiątkach, zapelniają w niej ze trzy półki (wiele z nich z cennymi dedykacjami).

Po moim rocznym stażu w łódzkiej placówce okazało się, że katedra nie otrzymała etatu asystenckiego. Jednak prof. Stefania Skwarczyńska, nic nie mówiąc mi o powstałej sytuacji, na skutek rozmowy z ówczesnym dyrektorem IBL-u, Kazimierzem Wyką, spowodowała, że oto zostałem przyjęty na tamtejsze, świeżo powołane Studium Doktoranckie. A kto je prowadził?! Świeżo nominowani docenci — Michał Głowiński i Alina Brodzka! To im obojgu zawdzięczam swoje rozmaite i wielostronne inicjacje literaturoznawcze. Także Wyce, który opiekował się Studium. Po doktoracie i po wysłanej mu potem pocztą książce o futuryzmie przysłał mi kartkę z wierszem T. Czyżewskiego i kilkudzaniową recenzją mojego tekstu (nader życzliwą).

Referowałem na którymś z tych iblowskich seminariów doktorskich *Poetykę drewnie-russkiej literatury* Dymitra Lichaczowa (Głowiński wspomina w książkowej rozmowie tego rosyjskiego, wybitnego literaturoznawcę, tę książkę oraz swoje ówczesne obowiązki naukowe i dydaktyczne, do których przystępował — jak wspomina — z dydaktyczną treścią!). Po dwóch latach wróciłem do Łodzi — (piszę „wróciłem”, ale to w rodzimej Katedrze Teorii Literatury przez ten cały czas, jako doktorant, prowadziłem zajęcia w kilku grupach). Doktorat oczywiście miałem otwarty w IBL-u z promotorem w osobie prof. Skwarczyńskiej i tam także (w roku 1972) odbył się egzamin doktorski i obrona. Moimi recenzentami byli Artur Hutnikiewicz i... Michał Głowiński! Także ówczesna docent z łódzkiej Katedry tuż po habilitacji, Teresa Cieślukowska („chcę pokazać w W-wie naszą Teresę” argumentowała moja promotorka, bo przepisy wymagały, tak jak dzisiaj, tylko dwóch recenzentów).

Po egzaminie odbył się zwyczajowy obiad w nieodległej od Pałacu Staszica „Harendzie”, sympatyczny i miły — pan docent Michał Głowiński, dopiero co po pobycie w Kopenhadze, opowiadał m.in. o swoich wrażeniach z oglądanego tam musicalu *Jesus Christ Super Star* (spektakl na Zachodzie był wtedy sensacją teatralno-hipisowska, obrazoburczą, ale Pani Profesor, jak wiadomo, mądrze i głęboko wierząca, śmiała się głośno z anegdotycznych wrażeń Michała razem ze wszystkimi). W obiedzie uczestniczył też Stefan Treugutt jako przewodniczący komisji doktorskiej: dziękował żartobliwie w moim imieniu (!) promotorce i recenzentom za poniesione trudy, widząc moje totalne oklapięcie po wszelkich trudach tego dnia. Co opowiada o panu Stefanie Głowiński w książce? „Panie docencie, dzwonią z resortu i pytają, czy w Instytucie są syjoniści (Treugutt był wtedy zastępcą dyrektora Instytutu), co mam odpowiedzieć? Niech pani odpowie: Nie było, nie ma i nie będzie!”. Ale też dodaje zdanie charakterystyki: „Był wielkim talentem naukowym, trzeba powiedzieć, że niespełnionym”.

O meandrycznej historii Instytutu Badań Literackich obaj panowie w książce rozmawiają nader szczegółowo. Instytucja naukowa, która powstała jako sztandarowy przykład socjalistyczno-marksistowskiej ideologii w literaturoznawstwie, niezadługo taką rolę rzeczywiście pełniła. Już w czasie tzw. Odwilży, w połowie lat pięćdziesiątych, prawie wyjątkowo, już tylko na mało ważnych marginesach, pojawiały się marksistowskie pogłosy, choć w Instytucie pracowały nadal nader prominentne dla tej ideologii osoby. A tę genetyczną przeszłość pamiętano jeszcze długo, zwłaszcza w środowiskach i u osób, które poddawane były na rozmaite sposoby ideologicznym naciskom oraz decyzjom. Rozmawiając o tym, panowie Głowiński i Wołowicz próbują rozświetlić rozmaite ideologiczne postawy pojawiające się w dziejach IBL-u i w latach pięćdziesiątych, a i potem, po, by tak nazwać, solidarnościowym zrywie lat osiemdziesiątych. Nie będę tu tego uszczegóławiał ani streszczał, bo też nie pamiętam już

ani nie znam wszelkich zaszłości, formułowanych opinii, uargumentowanych diagnoz, sądów i charakterystyk rozmaitych osób. Czytelnicy książki w dialogu obu panów znajdą wiele ocen, nazwisk i sytuacji. Dla mnie, bywającego już po doktoracie w IBL-u nieczęsto, ale zainteresowanego dziejami Instytutu, są wielce interesujące i nierzadko zaskakujące, bo po raz pierwszy tak wyraźnie sformułowane.

Profesor Stefania Skwarczyńska, jedna z najwybitniejszych historyków i teoretyków literatury w Polsce (ale ceniona także w europejskich kręgach literackiej komparatystyki), promotorka licznych grona wychowanków pracujących potem w wielu polskich uczelniach, mimo dziesiątków dzieł, ważnych decyzji w organizacji humanistyki na Uniwersytecie Łódzkim, funkcjonowała najpierw w nauce sekowana przez marksistowskich ideologów w latach 50., także tych z IBL-u, (utraciła m.in. Katedrę Teorii Literatury, którą faktycznie zlikwidowano w Uniwersytecie Łódzkim na parę lat). Potem jednak „rehabilitowana” i doceniana aktywnie uczestniczyła w dokonaniach polskiego literaturoznawstwa i edukacji uniwersyteckiej jeszcze przez dziesiątki lat.

Jako doktorant IBL-u w labiryntach Pałacu Staszica spotykałem wybitne postaci, kłaniając się grzecznie. Także samego Stefana Żółkiewskiego, który ledwo odpowiadał na mój ukłon. Spodziewałem się, że nawet nie wiedział, kto to jest, ten „chudy literat”, który ustępuje mu miejsca na wąskich korytarzach. Aż tu któregoś razu, na moje zwyczajowe „dzień dobry” słyszę zdumiony: „Panie Kolego, proszę przekazać Pani Stefanii, że została wybrana dzisiaj do Polskiej Akademii Nauk”. Więc mnie rozpoznawał, że to „ten z Łodzi od Skwarczyńskiej”. Wróciłem zatem do Łodzi cały zemocjonowany, biegnę do Pani Profesor i opowiadam o tym wydarzeniu. Ale Pani Profesor, jakby zupełnie bez emocji, odpowiedziała: „Phi! Panie Grzesiu, ja byłam członkiem Polskiej Akademii Umiejętności, co mi tam PAN”. Fakt. Ale odtąd i od reaktywacji zlikwidowanej uprzednio w stalinowskim PRL-u Polskiej Akademii Umiejętności (wielce szacownej, powstałej w międzywojniu instytucji, przywróconej do działalności i istniejącej do dziś!) Pani Profesor była podwójnym Akademikiem PAU i PAN, co sobie wielce cenila.

A z profesorem Żółkiewskim (autorem znakomitych prac o kulturze literackiej i ważnym rzecznikiem strukturalizmu oraz semiotyki literatury!) potem współpracowałem użytecznie przy paru okazjach wydawniczych i redaktorskich, bronił mnie też pewnego razu przed Tomaszem Burkiem, który zaatakował był mnie podczas jakiejś dyskusji za użycie w interpretacjach awangardy terminu „formacja” — bo to przecież — jak powiadał — „marksistowski wymysł!”.

Geneza IBL-u i jego meandryczna historia do dziś jeszcze pojawia się w powrotach do przeszłości, ocenach i opiniach o historii i o dokonaniach tego Instytutu. Jest też ważnym tematem rozmowy obu panów i pytań młodego Grzegorza Wołowca. Jednym z wymienianych tu adwersarzy jest profesor Janusz Sławiński. Czytelników tego tekstu nie muszą informować, kto to był i jak ważną rolę odegrał w przemianach polskiego literaturoznawstwa. Docenia też tę jego rolę Michał Głowiński (podkreśla to po wielokroć w całej książce), współpracownik i współautor wielu ważnych książek obu uczonych. Właściwie te dwa nazwiska wymawiało się w moich czasach studenckich i uniwersyteckich jednym tchem „Głowiński, Sławiński”. Kiedy u nas w Łodzi zrodził się w którymś momencie pomysł, aby zgłosić do naszego uniwersyteckiego doktoratu honoris causa literaturoznawcę, rozważaliśmy na równi te dwa nazwiska. W rezultacie, w wyniku naszych dyskusji, przeszła kandydatura Janusza Sławińskiego, bo — argumentowano — Michał Głowiński już miał wtedy dwa takie tytuły na innych

uczelniah. A i tak w czasie uroczystości po laudacjach, kwiatach i dyplomach, w pierwszym zadaniu swojego podziękowania, Janusz Sławiński — najwyraźniej zaszczycony i wzruszony — powiedział jednak, zbijając nas, pomysłodawców (byłem też promotorem doktoratu) z pantafyku: „Właściwie nie wiem, czym się zasłużyłem Uniwersytetowi Łódzkiemu, ale...” itd., itd. Na szczęście, ogromna większość zebranych uznała to za żart laureata.

Sławiński, aktywny ideologicznie w czasach „rewolucji solidarnościowej”, napisał m.in. kilka artykułów na temat historii IBL-u. Jak mówi Michał Głowiński, w istocie „była to jedna wypowiedź w różnych formach i o różnych uwikłaniach”, pod tytułem „jakiej historii IBL-u nam potrzeba”. Wg jego oceny jest to opinia jawnie tendencyjna i jednoperspektywiczna, ponieważ „bez pokazania różnego typu uwikłań, bez przywoływania indywidualności, które z IBL-em były związane”. A głównym zarzutem Sławińskiego było to, że w istocie rok 1956 w historii Instytutu niczego nie zmienił (impetyczny krytyk pominął nawet nazwisko ówczesnego dyrektora, czyli Kazimierza Wyki, bezwzględnie „najwybitniejszego żyjącego wówczas badacza literatury” — dodaje Głowiński), że placówka nie została zdekomunizowana, czyli, że nie stworzono jej od nowa. I że owa wada „złego urodzenia” nie pozwala na prawdziwą historię Instytutu. W zapisie tej ostrej polemiki (tak to się w lekturze odbiera) Głowiński przecież jednak mówi: „powiem od razu, że Janusza Sławińskiego uważam za wybitnego uczonego, legitymującego się wspaniałym dorobkiem w dziedzinie teorii literatury i niezwykle zasłużonym dla IBL-u, w którym był ważną postacią”. I to nie są jedyne takie jego oceny w całej rozmowie z Wołowcem.

A my z Łodzi przez całe lata z IBL-em współpracowaliśmy, a to jako współorganizatorzy świetnych i ważnych konferencji „młodych teoretyków literatury” (to była ważna idea przez wiele, wiele lat!), jako autorzy wydawnictw i artykułów oraz uczestnicy świetnych iblowskich konferencji. W ramach dobrosąsiedzkich stosunków delegacja pracowników z prof. Sławińskim na czele zjawiła się któregoś roku z wizytą w Katedrze Teorii Literatury u Skwarczyńskiej. Dzięki czemu m.in. mój iblowski doktorat o futuryzmie mógł ukazać się w serii „Z Dziejów Form Artystycznych w Polsce” redagowanej właśnie m.in. przez Janusza Sławińskiego. A ja w Katedrze — już od czasu studium doktoranckiego i doktoratu w IBL-u, byłem nazywany życzliwie przez kolegów „iblowską wtyczką” (to coś między przytykiem a nobilitacją!). Janusz Sławiński był jednym z czterech recenzentów mojej książki habilitacyjnej o awangardzie i była to recenzja najświetniejsza ze wszystkich czterech, a na nią oczekiwałem z największą treścią!

Zresztą profesorowie z Warszawy po wielokroć recenzowali u nas, na nasze promotorskie prośby, doktoraty i habilitacje (m.in. Głowiński, Sławiński, Alina Brodzka, Aleksandra Okopień-Sławińska, Włodzimierz Bolecki, Anna Nasiłowska, Jacek Leociak, Maryla Hopfinger, Andrzej Werner). A my braliśmy udział w iblowskich konferencjach naukowych i publikowaliśmy w tamtejszych książkach. Więcej — organizowaliśmy także wspólnie z IBL-em wiele ogólnopolskich konferencji teoretycznoliterackich.

„Tematem dnia” lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku w polskim życiu humanistyczno-universyteckim był strukturalizm. I ja już w magisterium swoje założenia teoretyczno-interpretacyjne sformułowałem wedle rozprawy Romana Jakobsona *Poetyka w świetle językoznawstwa*, tłumaczonej przez Krystynę Pomorską, a drukowanej w „Pamiętniku Literackim”. Nie przeceniałbym tego faktu, gdyby nie to, że Andrzej Mencwel po koleżeńsku wymienił moje nazwisko w audycji radiowej poświęconej Sławińskiemu po jego śmierci, kiedy wspominał właśnie erę polskiego strukturalizmu. Właściwie strukturalizm — mówiąc już całkiem poważnie — rzeczywiście ogarnął polską humanistykę tamtych dekad poprzez liczne badania,

książki, konferencje i dyskusje. Słynną książkę Rolanda Barthesa *Essais critiques* czytała i referowała nam wtedy na seminariach sama Stefania Skwarczyńska, która otrzymywała z zagranicy ważne dzieła współczesnej humanistyki. Pamiętam też na prawach anegdoty, jak swego czasu wtedy (połowa lat 60.) musiałem uciekać od stołu w po zupie pomidorowej, w przerwie obiadowej, właśnie na jakiejś konferencji teoretyczno-literackiej (były chwałą iblowskiej humanistyki! Należy się im oddzielna historia), bo — nieżyjący już profesorowie strukturaliści, Sławomir Świontek i Zbigniew Osiński (teoretycy teatru), pokłócili się o *signifiant* i *signifié*!

Romana Jakobsona poznałem w czasie warszawskiego Kongresu Sławistów (1973), podczas jakiejś kolacji w hotelu Europejskim, kiedy słynny profesor wraz z żoną, Krystyną Pomorską, i Jerzym Kuryłowiczem przysiedli się do stolika, przy którym towarzyszyłem prof. Stefani Skwarczyńskiej. Ledwo oddychałem z wrażenia, kiedy pani Krystyna wśród śmiechów i anegdot zwracała się co i raz do męża z prośbą: „Romanie! Mów po polsku!”, bo Profesor prawił we wszystkich językach słowiańskich. Potem, po miesiącach, zdarzyło się, że z panią prof. Pomorską zbieraliśmy maślaki na Lidingö pod Sztokholmem, w przerwach podczas jakiejś sławistycznej konferencji organizowanej przez tamtejszego wspianego sławistę i naszego przyjaciela, prof. Nilsa Åke Nilssona (to wtedy, co trudno nie zapamiętać, po swoim referacie o awangardzie polskiej miałem prawie dwudziestu dyskutantów! — Jurek Jarzębski świadkiem). Korespondowaliśmy też później z Panią Krystyną na tematy polskiej powieści współczesnej aż do czasu jej przedwczesnej śmierci w USA.

Wdałem się w prywatne anegdoty, ale rzeczywiście strukturalizm był nadzwyczaj wpływowym prądem w humanistyce dwudziestowiecznej. Także polskiej, bo ona właśnie rozpięta między teoriami rosyjskiego formalizmu (wpływowego u nas już przed wojną — Kridl!), praktycznej szkoły strukturalnej i strukturalizmu francuskiego dokonała u nas prawdziwej totalnej rewolucji, w której badaczki i książki IBL-u odegrały rolę niewyobrażalną. Temat ten nie mógł jednak, jak się okazuje, zmieścić się w „książce-rozmowie”. Wydawcy więc i rozmówcy postanowili go przenieść poza swój książkowy dialog. I tak kilkadziesiąt stron rozmowy zatytułowanych *O polskim strukturalizmie* znalazło swoje miejsce w kwartalniku „Nauka” (2018 nr 3, s. 27–50). Ważny i bardzo interesujący to temat (szkoda, że nie w książce, ale łatwo go znaleźć w internecie). Nie tylko świetnie rekonstruuje on rozwój tej metodologii („pierwszym strukturalistą był Arystoteles” — opowiada nie całkiem żartem Michał Głowiński!) w Polsce, ale wskazuje na jej oryginalność i dokonania, konteksty teoretyczne, nie tylko w genezie, ale i w późniejszej historii, jego oddziaływania na myślenie humanistyczne w ogóle, aż do dydaktyki szkolnej włącznie.

Z mojej dzisiejszej perspektywy jako świadka tamtych lat oraz współczesnego obserwatora literaturoznawstwa mogę powiedzieć, że strukturalizm (we wszystkich swoich odmianach i interpretacjach), a także semiologia („przeniesienie teorii strukturalnej na inne systemy znakowe”), tak głęboko wpisały się w świadomość humanistyki XX stulecia, że możemy i dzisiaj jeszcze (tak jak monsieur Jourdain dziwił się, że mówi prozą) dostrzegać, że w literaturoznawstwie i jego praktykach interpretacyjnych wciąż nie możemy wyjść z przestrzeni myślowych oraz terminologii strukturalizmu i semiologii. Bo „strukturalizm, który został wypracowany w nauce o literaturze, proponuje wzorce i procedury przedstawicielom innych dyscyplin” — mówi Michał Głowiński. Że ja przesadzam w swoich ocenach tej metodologii? Jeśli tak, to niewiele. W moim wieku wolno mi. Bo te dzisiejsze liczne „zwroty” w humanistyce, coroczne i bodaj comiesięczne (to już moja złośliwość!), które dostrzegają i lansują autorzy (zwłaszcza młodzi) każdej nowej humanistycznej książki, mają bardzo często żywot sezonowej łątki.

Z tą problematyką rozmów obu panów związana jest też sprawa intertekstualności, która — mówi Głowiński — „wskazuje na ważny element tekstu literackiego pojawiającego się w różnych uwikłaniach”. A jednocześnie jego funkcjonowanie w literaturoznawstwie mówi o „stosunku do strukturalizmu jako podstawowego kontekstu metodologicznego”. Intertekstualność też, jako obszerna wypowiedź z komentarzami, została odesłana przez wydawcę z omawianej książki do „Kwartalnika Artystycznego” (2018 nr. 3, s. 135–148). Wołowiec podejmuje owo zagadnienie, bo słusznie uznaje, że Głowiński jest autorem klasycznych w Polsce prac na ten temat. Tak zatem przedmiotem ciekawych autointerpretacji jest przede wszystkim książka głównego interlokutora, czyli studium z poetyki historycznej *Powieść młodopolska*, ale i inne prace o tym gatunku, które byстрым zdaniem Wołowca „układają się w dużo szerszą opowieść o historii powieści od jej postaci realistycznej do awangardowej”.

„Rozmowa-rzeka” obu panów z trudem poddaje się krótkim opisom i streszczeniom. Po prawdzie każdy wątek tej bogatej myślowo książki (prawie pięciuset stronicowej!) wywołuje w czytelnicznym odbiorze chęć komentarza, potrzebę dopowiedzeń, a i pytań. Dotyczy to będzie zwłaszcza tych wszystkich, którzy są bohaterami dialogu obu panów, ich ocen i charakterystyk, ale i także tych — do których i ja się zaliczam, którzy z mniejszej lub większej odległości obserwowali komentowane wydarzenia, a nawet brali w nich mniej lub bardziej aktywny udział. Sam jestem ciekawy, jak tę książkę będą oceniać i będą o niej dyskutować bezpośrednio zainteresowani. Wprawdzie znakomita większość osób wywołanych na stronicach tej rozmowy już nie żyje. Ale obecni i aktywni naukowo są wciąż ich młodszy koledzy, przyjaciele oraz współpracownicy. Ich pamięć, ich stosunek do przeszłości, tej odleglejszej i tej bliższej, może wywołać rozmaite głosy i dopowiedzenia polemiczne. Ale nie należy obawiać się jakichś bardziej ostrzejszych tonów ani negatywnych komentarzy. Michał Głowiński, pomijając może pojedyncze wyjątki, nigdy nie należał do autorów, którzy by w sprawach codziennej rzeczywistości nadużywali ostrzejszych sądów i polemik wymykających się spod kontroli obiektywnych prawd.

Tak więc powstałą z rozmów książkę można traktować jako ważną wypowiedź osobistą, o swoistych, własnych osądach przypominanej i komentowanej rzeczywistości, ale i także jako zapis subiektywnej, ale i uargumentowanej historii polskiej literaturoznawczej humanistyki i jej prominentnych przedstawicieli, która kształtowała swoje treści i jakości po demokratyzacyjnym zakwestionowaniu najpierw okresu stalinowskiego po 1956 r., a potem po solidarnościowych ewolucjach lat osiemdziesiątych.

Michał Głowiński, Grzegorz Wołowiec, *Czas nieprzewidywany. Rozmowa-rzeka*, Wielka Litera, Warszawa 2018, s. 494.

GRZEGORZ GAZDA

Profesor emerytowany Uniwersytetu Łódzkiego